

Krzysztof Tyszka-Drozdowski: Populiści i krótki cień de Gaulle'a

Prezydent Hollande kilka dni temu odwiedził ośrodek pielęgnujący pamięć o de Gaulle'u. Przy okazji tych odwiedzin stwierdził, że każdy francuski polityk albo był, albo jest, albo będzie gaullistą. Gaulliści jednak nigdy nie stali tak słabo, jak dzisiaj. Generał był niepodległościowcem, obecny kształt Unii Europejskiej uważałby za zamach na suwerenność Francji – pisze Krzysztof Tyszka-Drozdowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Francuski wybór

Oś polityczna Francji jest wygięta na lewo. W podręcznikach uczy się, że podział na lewicę i prawicę zależał we Francji od kwestii ustrojowych. Lewica uważała, że suwerenem jest lud, była więc republikańska. Prawica twierdziła, że suwerenem może być tylko jednostka i tu dzieliła się dalej, bo legitymiści wskazywali na inną jednostkę niż orleaniści, a bonapartyści upatrzili sobie jeszcze inną niż tamte stronnictwa. Dzisiaj kwestia „czy republika, a jak nie, to co?”, zniknęła z porządku dziennego.

Przyjęto teren republikański. To grunt, na którym toczy się główny polityczny konflikt naszych czasów. Zasadniczy podział przebiega pomiędzy tymi, którzy uznają suwerenność narodu za podstawowy fakt polityczny i tymi, którzy chcą ją po cichu znieść. Podział na lewicę i prawicę niewiele już nam mówi, w tej chwili sam się anulował.

Populiści, stojący po stronie ludu, i neoliberalowie, stojący po stronie oświeczonej oligarchii, wywodzą się czasem z tych samych ugrupowań. Podział idzie w poprzek głównego nurtu.

W polityce, oczywiście, idee nie krystalizują się w czystej postaci. Tak jest w przypadku François Fillona. Stanowi on stop neoliberalizmu – a liberalizm to tradycja, która we Francji nie ma prawie zaczepienia – i konserwatyizmu kulturowego. Deregulacja idzie tu w parze z przeświadczeniem o potrzebie silnej rodziny, tożsamości narodowej i walki z islamskim totalitaryzmem (które to pojęcie widnieje w tytule książki Fillona, zapożyczone od geopolitologa Alexandre’a del Valle’a). Éric Zemmour zauważa, że Francja zawsze jest do tyłu: gdy Reagan i Thatcher prowadzili neoliberalną rewolucję, Mitterand budował socjalizm, a gdy Trump i Thatcher zapowiadają politykę protekcjonistyczną, Macron i Fillon zapalają się do rozwiązań neoliberalnych. Kandydat *Les Républicains* stoi więc jedną nogą w establishmencie, bo nie walczy o poprawę położenia ekonomicznego tych, którzy na globalizacji stracili, ale, z drugiej strony, chce bronić ich tożsamości. Ataki medialne z ostatnich miesięcy odsunęły go jednak dalej od głównego nurtu. Zamieszanie wokół fikcyjnego zatrudnienia żony i dzieci, afera odpalona już po prawyborach partyjnych, to typowo ponowoczesne uroszczenie mediów i sędziów, aby wpływać na politykę. Sędziowie, którzy mają wyjaśnić sprawę kandydata, to podobno wszystko nominaci socjalistów. Sytuacja jest o tyle groźna, że Fillon to jedyny kandydat prawicy, który ma szansę wygrać, bo w drugiej turze wszyscy zjednoczą siły, aby zagrozić drodze Le Pen. Skutki tego scenariusza będą takie, że za kolejne pięć lat wygra kandydatka Frontu Narodowego. Francja peryferyjna, która będzie się rozrastać, poczuje się opuszczona, bo ujrzy, że jedyny kandydat z głównego nurtu, który

próbował do niej dotrzeć, został zmieciony przez zmasowany atak establishmentu. Postawi więc na kandydata antysystemowego, wybierze Marine Le Pen.

Macron to piewca multikulturalizmu. Od początku roku złożył dwie wizyty kanclerz Merkel. Zabierał wtedy chętnie głos w sprawie imigracji, która właściwie nie zaistniała jako temat obecnej kampanii. Kandydat *En marche!* to zwolennik „pierwszej Merkel”, tej, która wierzyła, że polityka *Willkommenskultur* stanowi bezbłędny manewr polityczny i wyczyn moralny. W styczniu chwalił decyzję o przyjęciu miliona imigrantów jako gest „ratujący nasze wspólne wartości”. Innym narodom Europy wytykał, że nie potrafiły się zachować „tak, jak trzeba” i zgodzić na kwoty migrantów. Otwarcie skrytykował Manuela Vallsa za to, że ten śmiał powiedzieć, iż przyjęcie nowych uchodźców jest ponad francuskie siły. Zyskał sobie tym uznanie Daniela Cohn-Bendita, który stwierdził, że Macron „to jedyny polityk, który postąpił w tej sprawie honorowo”. Wprawdzie Fillona wiązą z Putinem bardzo ciepłe stosunki, Macron jednak byłby gotów na pełne wsparcie dla pomysłów niemieckich. Wolfgang Schäuble kilka dni temu oznajmił, że gdyby był Francuzem, głosowałby na Macrona. Polityka polska staje więc wobec dylematu: zaostrzenie sprawy przymusowych kwot albo wzmocnienie Rosji w Europie? Dla Polaków nigdy nie ma łatwego wyjścia.

Macron zamyka oczy na to, że V Republika nie jest w stanie przyjąć więcej imigrantów. Bezrobocie objęło już ponad 5,5 miliona obywateli, sytuacja mieszkaniowa pogarsza się dosłownie z dnia na dzień (według danych fundacji *abbé Pierre* 2,4 miliona Francuzów nie ma dachu nad głową albo żyje w opłakanych warunkach), mniejszości odgradzają się od reszty społeczeństwa w islamskich gettach. Można asymilować jednostki, nie można jednak wchłonąć całych populacji, trzeźwo

zauważał de Gaulle. Macron nie dostrzega, że Francja siedzi na beczce prochu: na przedmieściach gotuje się wojna domowa. Państwo pokrywa się archipelagami dżihadu, gdzie prawo republiki przestaje obowiązywać i ustępuje szariatowi. Kwestia agresywnych, muzułmańskich mniejszości może znaleźć rozsądne rozwiązanie wyłącznie w ramach państwa narodowego.

Kandydat *En marche!* zarzekał się niedawno, że nigdy nie widział francuskiej sztuki. I dalej w tym tonie: mówił, że coś takiego, jak francuska kultura, w ogóle nie istnieje. Jeżeli jednak Francja to tylko próżnia, w której przelewają się etniczne żywioły, to na jakiej zasadzie dokona się asymilacja? Jak scalić te różne etniczne cząstki w stabilną całość? Mniejszości rozsadzają państwo, jeśli nie podporządkują się kulturze przewodniej, jeśli nie nauczą się wspólnego języka. Macron pozostaje na to zagadnienie ślepy. Jedyne, co jego zdaniem nosi piętno „francuskości”, to kolonizacja, którą określił jako „zbrodnię przeciwko ludzkości”.

Faworyt mediów chce za jednym zamachem zebrać głosy przedmieść i menedżerów. Lubi przemawiać profetycznym tonem, ciągle nawołuje do innowacji, do „wybierania przyszłości” (skąd my to znamy?), jego ideałem nie jest naród, sztuczny twór dzielący ludzi, ale wielka metropolia. Wielkie miasto to nowoczesna retorta, rozpuszczająca wszystkie tożsamości, mieszająca wszystko ze sobą, jej uniwersalnym językiem jest angielski. Założyciel *En marche!* za granicą przemawia tylko po angielsku, a hymn śpiewa, trzymając prawą rękę na piersi, po amerykańsku.

Kandydat, którego Fillon przezwał „Emmanuel Hollande”, przedstawia siebie samego jako antysystemowca. W gabinecie obecnego prezydenta odpowiadał za politykę gospodarczą, w zasadzie przygotował większość jego projektów, następnie objął tekę w ministerstwie ekonomii w rządzie Manuela Vallsa – trudno właściwie mówić tu o zerwaniu. Nie było w historii V Republiki tak jednoznacznie ocenianego prezydenta, jak Hollande. Mimo to człowiek będący jednym z jego przybocznych może liczyć na duże poparcie. To oznaka kiepskiego zdrowia narodowego.

Chantal Mouffe, belgijska filozof polityki, pracuje na intelektualnym zapleczu Jean-Luca Mélenchona. Mówi wprost: żyjemy w „momencie populistycznym”. „Populizm” w sensie potocznym to zniewaga, znaczy tyle, co „demagogia”, wyzwisko, którym establishment szykanuje swoich wrogów. Populizm nie stanowi prymitywnej rewolty przeciw wszystkim instytucjom, to sprzeciw wobec tych, które wspierają globalizację i oddalają władzę od narodu. Nie jest on jednak żadną ideologią. To nowy sposób budowania podziału politycznego. Populiści ustalają nową granicę, odgradzającą – po schmittowsku – przyjaciół od wrogów. „My” to ci wszyscy, którym globalizacja szkodzi, „oni” to ci, którzy czerpią z niej korzyść.

Populizm należy czytać jako europejskie dementi wobec końca historii. Neoliberalowie sądzili, że polityka stanowi zamknięty rozdział w dziejach Zachodu. Teraz to eksperci, tak uważano, a nie emocje albo ideologie – będą decydować w najważniejszych kwestiach. Wygaszona polityka miała stać się odtąd dziedziną sprawnych technokratów.

Można asymilować jednostki, nie można jednak wchłonąć całych populacji, trzeźwo zauważał de Gaulle. Obecna Francja pokrywa się archipelagami dżihadu, gdzie prawo republiki przestaje obowiązywać i ustępuje szariatowi

Populiści kończą ze złudzeniem, że wszyscy wyraziliśmy zgodę na to, aby oświeceni specjaliści kierowali losami społeczeństw. Narody chcą odzyskać głos.

Poparcie dla Mélenchona wzrosło

znacznie względem 2012 r. Przyczyna jest prosta: przestał zwracać się wyłącznie do sierot po Partii Komunistycznej. Wyszedł poza krąg fascynatów Chaveza. Jego program nie jest już wyłącznie lewicowy, to program patriotyczny. Mouffe podkreśla, że uczucia narodowe są zbyt silnie zakotwiczone w społeczeństwach, aby można było je lekceważyć; jej zdaniem posiadają nawet potencjał „progresywny”.

Kandydat *La France insoumise* to suwerenista, przeciwnik Unii Europejskiej i NATO. Jego największą słabością są jednak, oględnie mówiąc, ekstrawaganckie pomysły w polityce zagranicznej, jak choćby wprowadzenie Francji do Przymierza Boliwariańskiego. Niechęć wobec konstrukcji europejskiej stanowi też powód, dla którego nie wyrwał Partii Socjalistycznej i Benoît Hamonowi resztek poparcia. Zatwardziali wyborcy PS wierzą ciągle w integrację europejską. Inne ryzykowne posunięcie, które nie zjednuje mu bardziej umiarkowanych głosów, to forsowanie pomysłu nowej konstytucji – VI Republiki.

Mouffe upatruje jedyną szansę dla lewicy w utworzeniu własnej odmiany populizmu. Prawicowy populizm – chodzi tu o Marine Le Pen i jej partię – przez „lud” rozumie naród, lewica powinna, zdaniem filozof, rozciągnąć to pojęcie także na imigrantów, a nawet na mniejszości seksualne. Belgijska myślicielka odwołuje się do myślenia realistycznego, wymienia Machiavellego jako źródło inspiracji, ale przymyka oko na część prawdy, którą odkryła. Nie da się, tak ja ona to sobie wyobraża, połączyć wszystkich „walk”, nie da się zespolić roszczeń imigrantów z Calais, gejów i lesbijek z Paryża z interesami bretońskich rolników. Mouffe chciałaby, aby Mélenchon był takim Macronem, który podoba się też robotnikom. Lewicowy populizm, to, w moim przekonaniu, twór poroniony. Skazany z góry na porażkę. Populizm to, posługując się pojęciem profesora Marka A. Cichockiego, „prawica społeczna”. Tylko ona podważa całość systemu, który stanowi zrost liberalizmu ekonomicznego i obyczajowego.

Hollande kilka dni temu odwiedził ośrodek pielęgnujący pamięć o de Gaulle’u. Przy okazji tych odwiedzin stwierdził, że każdy francuski polityk albo był, albo jest, albo będzie gaullistą. Gaulliści jednak nigdy nie stali tak słabo, jak dzisiaj. Generał był niepodległościowcem, obecny kształt Unii Europejskiej uważałby za zamach na suwerenność Francji. Ostatni prawdziwi gaulliści, jak Charles Pasqua albo Philippe Séguin, walczyli o odrzucenie Traktatu z Maastricht i przeciwstawiali się głębszej integracji. Fillon w zasadzie popiera Unię, Hamon to gorący jej zwolennik, podobnie jak Macron. Najbardziej krytyczne stanowiska, pozycje czysto suwerenistyczne zajmują Mélenchon i Marine Le Pen. W kwestiach ekonomicznych gaullizm to przedłużenie colbertyzmu i bonapartyzmu; liberalizm Macrona i Fillona trzeba więc umieścić poza jego nawiasem. Znów to Front Narodowy i *La France insoumise*

kojarzą się najbardziej z poglądami Generała. Wbrew genealogii politycznej, to więc Le Pen i Mélenchon wychodzą na spadkobierców de Gaulle'a. Czy to godni spadkobiercy, to inna sprawa.